# W puszczy Rudnickiej na głuszcowych tokach.

Wiosnę myśliwską powitałem w tym roku w mszarnych puszczach Wileńszczyzny, w uroczyskach błękitnych od kwitnących przylaszczek, na wypaleniskach liljowych od sasanek i na rojstach dzikich, błotnych a niedostępnych, podobnych do syberyjskiej tundry.

Nadszedł kwiecień, miesiąc głuszcowej pieśni i zalotów cietrzewich. Uśmiechnęła się puszcza pierwszym miłosnym uśmiechem do modrego, choć zimnego jeszcze nieba. Pierwsze jaskry, jak złote gwiazdy, zabłysły nad leśnemi wodami. Pierwsze

Dzięki niezwykłej uprzejmości p. prez. Świętorzeckiego oraz całego zespołu Wileńskiego Tow. Myśliwskiego danem mi było zażyć łowieckich rozkoszy w tej cudnej puszczy, ostoi łosia i głuszca, w puszczy kwitnącej dziś pod mądrą gospodarką łowiecką jednego z najzasłużeńszych w Polsce towarzystw myśliwskich.

Przez Jaszuny, Wieczoryszki, Rudniki i Żegaryno pod wieczór przybyłem z prez. Świętorzeckim do Pokrempia, gdzie natychmiast z leśnikiem Piotrem ruszyłem na głuszcowe podsłuchy.



Prez. Świętorzecki i red J. Ejsmond z zabitemi głuszcami w Puszczy Rudnickiej.
*(Zdjęcie zrobione przez łowczego p. Pugaczewskiego).*

łozy zapaliły się bladym złotem. W mroźny jeszcze ranek zabulgotała nad jeziorem Popis, pieśń cietrzewia. Wśród olch Rojstowego mostu szybkim lotem przeciągnęła o zmierzchu pierwsza słonka. A na Pokrempiu, na uroczysku Kładki, po zachodzie słońca, gdy niebo różowe gasnąć poczynało za czarną ścianą drzew, z gromkim łopotem skrzydeł, z kraczącym krechtaniem zapadać poczęły na sosny głuszce, pieśniarze mokradeł leśnych, w ostępie tak dzikim i niedostępnym, jakby w nim jeszcze nigdy od początku świata nie postała ludzka noga.

Weszliśmy w gęsty bór. Gasnące słońce złociło miedziane pnie sosen i śmigłe sylwety białopiennych brzóz. Bór wyrastał na błotnych rojstach. Oślizgłe, podruzgotane kładki mchem pokryte były jedyną drogą przez leśną topiel. Podpierając się kijami skaczemy z pniaka na pniak. Od czasu do czasu noga ślizga się i grzęznie w moczarze. Lód załamuje się przy każdem stąpnięciu z brzękiem tłuczonego szkła.

Zlani potem, pomimo mroźnego chłodu, doszliśmy wreszcie poprzez trzęsawisko do stojącego na błocie sosnowego boru, gdzie głuszce obrały

sobie niedostępną stolicę. Siadłem na ściętym pniaku i zasłuchałem się w koncert wieczorny usypiającej puszczy.

Pnie sosen powoli gasną. Słońce zachodzi. Bieleją jeszcze wątłe brzózki na błocie... Przeciągnęła słonka chrapiąc i świszcząc... Gęsi przeleciały nad lasem ku błękitnemu jezioru Popis... Olbrzymi rybołów powolnym lotem z rybą w szponach przepłynął ku swemu gniazdu ukrytemu śród sosen.

Księżyc wypłynął na niebo jak złota łódź. Widmowym blaskiem zajaśniały leśne mokradła. A wtem rozległ się łopot olbrzymiego ptaka, który zapadł na niedalekiej sośnie. Siadł uderzając skrzydłami i zakrektał. Zmienił miejsce i zakrektał znowu. W tej chwili nowy łopot wstrząsnął usypiającym lasem. To nowy głuszec z krektaniem siadł w borze. Łopot i krektanie napełnia cały las! Olbrzymie czarne ptaki z dziennych żerowisk przybywają na uroczysko śród bagien. Ten i ów kłapać poczyna. Czy zabrzmi pieśń?

Nie śpiewały jednak wieczorem. Gwiezdna noc rozpostarła nad nimi swe modre skrzydła i ukołysała je do snu.

Wracamy ostrożnie uśpioną puszczą, by nie spłoszyć niedalekich głuszców. Zapadło ich 7 sztuk w pobliżu, kilkanaście zaś nieco dalej. Błądzimy w puszczy. Dalekie szczekanie psów wyprowadza nas na „trybę" leśną.

O 1 w nocy ruszamy w las ku zasadzonym kogutom. Piotr trzyma w ręku pęk łuczywa tryskający snopami iskier. Otacza nas czarny las. Za nami nizki księżyc. Z głębi boru dolata głos puhacza i cichy zew sówki leśnej.

Nocne przejście po ślizkich, zamarzniętych kładkach, rzuconych na topiel, nie należy do łatwych. Lód załamuje się pod nogami z brzękiem. Nawisłe gałęzie drzew smagają twarz. Łuczywo zostawia poza sobą na leśnym szlaku tlące gwiazdy iskier.

W mroku jeszcze staję na upatrzonem miejscu. Gajowego Piotra zostawiłem daleko na skrzyżowaniu dróg, lękając się, by mi kaszlem nie spłoszył koguta. Otacza mię bór śpiący jeszcze i tajemniczy.

Lecz powoli niebo poczyna jaśnieć. Poranny głos kszyka rozbrzmiewa z błękitu. Z ostrym świstem pędzącej wichury przelatuje stado kaczek, dążąc na jezioro. Samotny żóraw bolesnym krzykiem, podobnym do surmy żałobnej, napełnia bór. W gęstwinie szczeka spłoszony kozioł. Bulgot cietrzewi dolatuje z leśnego mszaru, Głuszce jednak milczą, jak zaklęte.

Jaśnieją pnie brzóz. Różowieje niebo wschodnie. Tu i owdzie poczynają krektać zasadzone wczoraj koguty. Czasem zakłapie śpiewak. Ale mroźny poranek nie sprzyja pieśni godowej.

Z szumem i łopotem spadają ptaki z sosen na mszarnik. Kwoktają głuszyce. Biją się wojownicze koguty łomocąc potężnemi skrzydłami. A zdala płyną cietrzewie bełkoty i gęsi gęganie... A w górze rżenie bekasów dźwięczy monotonnie... Zimny, złoty ranek wschodzi nad Puszczą Rudnicką. Słońce ogarnia w swoje promienne władztwo wiosenny bór...

I oto nagle z dalekiej sosny, jak cicha perlista kaskada, rozbrzmiewa pierwsza pieśń głuszcowa. Stary kogut, pieśniarz natchniony, w uśmiechniętej godzinie poranku poczyna głosić pochwałę miłości i wiosny lasom i mszarom.

Rzucam kij, bez którego na zamarzniętym „mchu" niemożebny pochód... Chwytam broń i w takt głuszcowej pieśni skakać poczynam po miękkich mchach i po zdradliwych, zamarzniętych grzęzawiskach.

Dźwięczna kaskada powoli staje się pieśnią wyraźną, której części odróżniać poczynam. W czasie końcowej zwrotki skaczę przed siebie śmiało. Oto rozbrzmiewa szlifowanie. Jestem więc blizko upragnionego śpiewaka. Nie widzę go jednak w rozłożystych konarach nizkich sosen.

Skacząc chwytam za brzózkę spróchniałą, która z łomotem wali się na mszar — w czasie szlifowania. Serce mi truchleje — głuszec przerywa pieśń. Zamieram w bezruchu, w skoku, wsparty całym ciężarem na jednej nodze powoli lgnącej w miękką kępę mchu.

Głuszec poczyna przerwaną pieśń — skaczę dalej. A wtem z ogłuszającym łopotem porywa się „Krechtun", milczący świadek mego skradania się w leśnej gęstwinie. Głuszec ucina po raz wtóry. Czekam z biciem serca zanurzony po kolana w lodowatej leśnej kałuży.

Lecz baczny ptak nie śpiewa już więcej. Jedno gromkie uderzenie skrzydeł... Szybki strzał do porywającego się koguta... Głuszec opuszcza nogi, zniża lot i pada na mszar.

Pierwotna radość zalewa mi serce... Jeden dreszcz takiej radości ogromnej strząsa z naszej duszy naleciałości tysiącoleci.

Słońce podnosi się coraz wyżej i zamienia klejnoty szronu w tęczowe, lśniące krople rosy porannej, a szczęście moje tak jest wielkie, iż mam wrażenie, że to puszcza cała ma w oczach łzy szczęścia...

Pokrempie 5.IV.25.

*Juljan Ejsmond.*

# Na Pamirach i w pustyni Raskiemu.

Na zbadanie doliny rzeki Raskiema i jej źródeł poświęciliśmy dwa miesiące. W przeciągu tego czasu zrobiłem topograficzne zdjęcia na przestrzeni przeszło 1000 kilometrów (odległość Warszawy od Petersburga przez Grodno, Wilno, Psków), zbadałem wszystkie przełęcze w Himalajach i większość w paśmie gór Raskiemskich i w przeciągu 55 dni tylko dwa razy spotkałem się z ludźmi, a mianowicie z ekspedycją angielską kapitana Younbhesband'a (późniejszego Głównodowodzącego armją angielską, która zajęła Tybet i stolicę Dałaj-Lamy) i później z rozbójniczą szajką kandżutów, która



Przejście ekspedycji przez pokrytą wiecznym śniegiem przełęcz Akba-i-Sytargi w paśmie gór Darwazkich 26 VII.1890 r. Wys. przełęczy 4627 m. (15.181 stóp) n. p. m. *fot. gen. Grąbczewskiego.*

wyszła z za Himalajów i ciągnęła w stronę wielkiej karawanowej drogi z Indji do Chin (przez Karakorumską przełęcz), w celach grabienia handlowych karawan.

Była to więc pustynia w pełnem znaczeniu tego słowa i nie dla tego żeby tereny tamtejsze nie nadawały się do osiadłego życia. Przeciwnie, w północnej części doliny Raskemu widzieliśmy zwaliska dużych wiosek, ogromne cmentarzyska, ślady uprawnych pól, obsadzonych zaschłemi drzewami, ruiny obronnych baszt przy wioskach. Z powodu suchego klimatu ruiny nie ulegały zniszczeniu i miały wygląd taki, jak gdyby ludzie tylko co wysiedlili się stamtąd. W wioskach łatwo było odróżnić miejsca, gdzie były wodne młyny, lub większe obronne domy, gdzie w czasie niebezpieczeństwa chronili się najbliżsi sąsiedzi. Widać było że mieszkańcy tamtejsi robili wszystko, żeby się utrzymać w rodzimych miejscach i ustąpili, nie mogąc obronić życia swego i mienia.

Powodem opuszczenia doliny Raskema przez jej mieszkańców były ciągłe napady Kandżutców, zamieszkających południowe zbocza kąta, gdzie się łączą Himalaje z Hindukuszem i kąta—skąd zbiegają źródła rzeki Indus, wpadającej do oceanu Indyjskiego. Chaństwo Kandżut zwiedziłem w 1888 roku, dotarłem do stolicy chaństwa Baltitu i w ciągu tygodnia byłem gościem jej władcy Safder-Ali-Chana. Lecz o tem — w innym miejscu.

Oczywiście, że takie ogromne pustynne tereny przyciągają wszelką zwierzynę. To też spotykaliśmy ją wszędzie, gdzie była trawa i woda.

Największe spustoszenia wyrządziłem wśród dzikich baranów Himalajskich, polując na nie przy każdej sposobności, a to z powodu mięsa potrzebnego do wykarmienia mej ekspedycji i dla zdobycia ciepłych futer. Są to ogromne zwierzęta wysokości 130 centymetrów, z rogami odchylonemi, a nie zakręconemi jak u Ovis Poli na Pamirach i cokolwiek mniejsze od tych ostatnich. Zwierzęta te nadzwyczaj czujne, trzymają się niewielkiemi stadkami po 12—15 sztuk i podejść się dają tylko ze

strony podwietrznej. Kaszmircy nazywają je Nahur, Kirgizi — Papaj. Baranów prześladują wilki szczególniej zimą i wtedy, w celach obrony, papaje zbijają się w ogromne stada. Największe stado jakie mi się zdarzyło spotkać było pod przełęczą Agyl-Dawan (4944 m.) i liczyło około 400 sztuk. Agyl-Dawan dzieli dwa dopływy Raskem-Darji, spływające z Himalajów, rzekę Saltor od rzeki Adyl-Dawan. Było to 31 października podług st. stylu. Tam też spotkałem stadko dzikich osłów (kulanów) złożone z 18—20 sztuk.

Kulany spotykałem często w rozmaitych miejscowościach, lecz niewielkiemi stadkami z 8—12 sztuk. Strzelałem do nich rzadko, gdyż mięsa ich ani kozacy, ani krajowcy nie jedli, a skóra nadawała się tylko do pasów. Później, w Tybecie, spotykałem stada złożone z kilkaset sztuk. Niedźwiedzie i dzikie kozy trzymały się w trudno dostępnych, skalistych częściach Himalajów i polowanie na nie wymagało ogromnych wysiłków z powodu wielkiej wysokości nad poziomem morza i bardzo rozrzedzonej atmosfery. Przy źródłach rzeki Saltor, zaobserwowałem szczyt, wysokość którego określiłem na 28.000 stóp n. p. m. (około 8.500 m.). Szczyt ten błyszczał w słońcu, pokryty wiecznym śniegiem z wspaniale zwieszającemi się lodowcami. Nazwałem go szczytem cesarzewicza Mikołaja. Po przybyciu do Petersburga, kiedy w Generalnym Sztabie koordynowali moje zdjęcia topograficzne północnych zboczy Himalajów z angielskiemi mapami zdjęć południowych zboczy Himalajów, to okazało się, że szczyt ten jako widoczny i od strony Indji— oznaczony jest na angielskich mapach literą $K^2$, a wysokość, określona zapomocą tryangulacji, na 28.278 stóp n. p. m. Jeden tylko Mount Everest jest trochę wyższy od tego szczytu, bo ma 29.002 stopy nad poz. morza.

Pozatem spotykaliśmy dosyć często kilka rodzajów antylop i gazeli, które jednak z powodu ich ostrożności i chyżości, udawało się jedynie zdobyć po odkryciu miejsca, gdzie schodziły na wodopój, zaczaiwszy się przed świtem, lub przed zachodem słońca.

*(d. c. n.)*

*Gen. Bron. Grąbczewski.*

# PAROSTKI KOZŁA I ICH ZNACZENIE DLA ŁOWIECTWA.

*(Dokończenie)*

Potem znów raptowne oderwanie, cofnięcie i znów trzask niezwykły. Gałęź jedna jak z procy wyrzucona, zakreśliwszy łuk wysoko — gdzieś daleko wpadła pomiędzy zarośla.



Fig 1.

W tej chwili huk strzału położył koniec walce. Obcy kozieł leżał na placu.

Długi czas szukałem pomiędzy wysoką trawą odrzuconej tyki, wszakże bezskutecznie. Miejscowego kozła jednorożca widziałem później wielokrotnie. Przez lato całe utrzymywał się w tym samym ostępie, aż wreszcie w końcu września po ukończeniu powinności swojej t. j. rui uległ losowi swojego przeciwnika. Fig. 1. przedstawia nam to trofeum. — Przyznać trzeba, iż nie poślednie musiało być uderzenie, aby strzaskać tak potężną odnogę. To też chociaż scena odegrała się w moich oczach, mam wątpliwości, czy ułamana tyka nie była już uszkodzoną przy innej sposobności.

Scena powyższa jak to już nadmieniłem odbyła się w maju — a więc nie w czasie rui. — O ile słyszałem lub czytałem o podobnych zapasach kozłów nigdy nie zdarzyły się w czasie popędu płciowego. Zdaje się więc, że nie wpływy erotyczne odgrywają tu główną rolę i nie w nich szukać należy przyczyny krwawych zapasów—lecz poprostu w zazdrości o miejsce, o posiadanie w niepodzielnej posesji jakiegoś specjalnie kawała łąki smakowitej lub delikatnego paśnika. A może tylko samcza tężyzna i chęć walki je powoduje. Za wiele u nas kóz, ażeby miała o nie zachodzić emulacja.

Inny jeszcze więcej zajmujący opis walki takiej — jedyny może w swoim rodzaju, opisuje p. Scharlau.

Dla uzupełnienia właściwości kozła dosłownie go powtarzam:

„W łagodny wieczór wrześniowy wybrałem się na stanowisko na znanego mi silnego szóstaka. Był to czas na przedsięwzięcie takie jakby stwo-

rzony; żadnego poruszenia w powietrzu, — nawet listek się nie poruszał. Kozioł też rychło wystąpił na łąkę. Na strzał było jeszcze zadaleko. Mogłem też czekać ze spokojem, gdyż z ufnością żerując

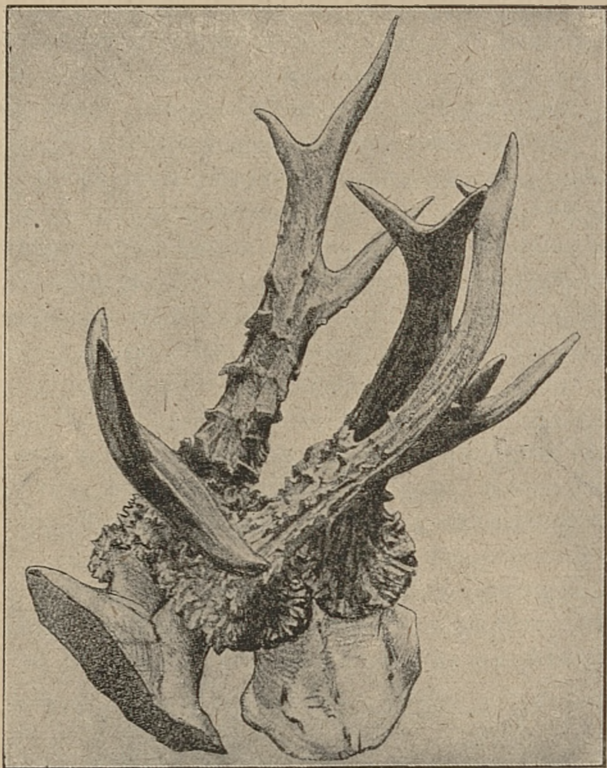


Fig. 2.

przybliżał się do mnie. Nagle podnosi głowę i zaczyna bić raciczkami o ziemię, przytem bezustannie spogląda na krzak stojący w środku łąki. W tej chwili spostrzegam wysuwającego się z za krzaka podobnie silnego kozła i w niedwuznacznie wyzywającej pozycji postępującego naprzód. Gdy następnie obaj przez pewien czas z pochylonemi rogami stali naprzeciw siebie, nagle rzucają się na siebie w gwałtownem zapędzie aż zatrzeszczały parostki.

Krzak wyżej wzmiankowany dawał dostateczne okrycie do podchodnego tak, że skorzystawszy z niego, z najbliższego otoczenia przypatrzeć się mogłem zajmującemu obrazowi, jak w oddaleniu zaledwie 40 kroków na wolnej łące dwa kapitalne szóstaki staczały prawdziwie rycerską walkę. Obydwaj rywale równie silni, obydwaj równie mężni— żaden nie ustępował. Wówczas podniosłem sztucer (zmrok zapadał) aby staremu miejscowemu kozłu prawidłowo kulę wsadzić w łopatkę. Ale o fatalność! Chwila przerwy w zapasach była tak krótka, że skoro pociągnąłem, w tej chwili kozły znowu rzuciły się ku sobie i wizerowanego uderzyła kula w tył korpusu.

Ale teraz przychodzi najosobliwsze: mimo tak silnej rany walczyły kozły dalej. Ale już nie przeszkadzałem, czekając z ciekawością, jak się ten niezwykły dramat zakończy. Wszakże strzał zaczął działać pomału, i ze zgiętym krzyżem zawrócił się ranny ku gęstwinie, aby tam położyć się u stóp silnego grabia. Tak długo—dopóki uchodził, zdrowy kozieł zachował się biernie, lecz skoro tylko się położył — rzucił się szaleniec bezzwłocznie na niego, bezbronnemu gwałtowne ciosy kończynami wymierzając.

Podbiegłem pospiesznie, aby zdrowego odpędzić, a rannego dobić — ale teraz dzieje się i spotyka mię coś — o czem we śnie nawet nie pomyślałbym; zdrowy kozieł uderza na mnie! — Dopiero kilka silnych uderzeń lufą sztucera przyprowadza go do rozumu i nakłania ostatecznie chociaż z widoczną niechęcią do poniechania zaczepki. Teraz dopiero mogłem się zająć rannym i uwolnić go od dalszych cierpień, podczas tego zdrowy głośno mi wymyślając wolnym krokiem opuścił plac boju.

Nie zawsze wszakże kończą się zapasy w wyżej opisany sposób, czasami parostkami związani przeciwnicy spletli je na wieki i wspólną śmierć



Fig. 3.

znajdują w tem połączeniu. Rycina Fig. 2 wyjęta z „Wild und Hund" parostków nadesłanych w roku 1895 na wystawę Berlińską przez Księcia Hohenlohe — ze Sławęcic, przedstawia takie dramatyczne

wydarzenie. Broń byłych rywali skrzyżowała się w czasie walki w pobliżu róży tak sztucznie, iż nawet ręką ludzką po ich śmierci rozdzieloną być nie mogła.



Fig. 4.

Podobizny parostków tutaj okazanych, opis i szczegóły powstania różnych form, odmian i monstrualność nieraz sięgających okazów, wreszcie szczegóły z życia siuty i właściwości charakteru kozła, dają nam razem wziąwszy obraz biograficzny tak zajmujący, iż powinien otworzyć oczy tym wszystkim, którzy to sympatyczne zwierzę łowcze dotąd lekceważyli.

A jeżeli nawet weźmiemy z przeszłości iż „zwierzę nie mające kłów, rogów, pazurów, zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów", to należy tu najwyraźniej zaznaczyć, iż kozieł ma „rogi" i to nie od parady tylko, lecz są one bronią zaczepną i odporną zarazem i że jej używa nieraz do walki, w której się rozstrzyga życie kombatantów.

Sarna jest zwierzęciem pożytecznym i dającym nam estetyczne zadowolenie, kozieł zaś, jakto widzieliśmy małym rycerzem, który w zapale walki nie waha się uderzyć nawet na dziesięćkroć silniejszego przeciwnika. Szlachetnych należy cenić i uczcić odpowiednio. Łotrów tylko wieszają... A gdy i to stworzenie, jak każde ziemskie, oczekuje koniec i to z ręki myśliwego i wtenczas tenże nie powinien zapomnieć, iż wnyk i śrót to narzędzia nieszlachetne i niemyśliwskie. Od myśliwego należy się kozłu śmierć szlachetna jedynie od kuli.

Z powyższego, jak mniemam, dostatecznie docenić można znaczenie parostków dla obecnego łowiectwa. Sądzę iż wyszczególniłem wszystko, aby obok znaczenia hodowlanego przekonać jednocześnie o ich wysokiej wartości przyrodniczej. Zbieranie więc i zawieszanie na ścianach sarnich trofeów, chcąc być sprawiedliwym, porównać trzeba do tego przemysłowca lub fabrykanta, który zbiera medale owoców pracy swej długoletniej. Tylko tężyzną zdobyć je można. Myśliwy amator trofeów stać powinien wyżej nawet od zbieracza dzieł sztuki, bo gdy każdy mniej więcej utwór ręki ludzkiej, gdy się z ceną nie liczy, nabyć można, — parostki dobre należy długoletnim staraniem samemu wyhodować, to też każdy je ceni, a nabycie ich od prawdziwego myśliwego w przeważnych wypadkach należy do niemożliwości.

Tym zaś, którzy postponując własne łowiska i niedoceniając rodzimej fauny, szukają i jeżdżą zdobywać kosztowne trofea nieraz daleko po za

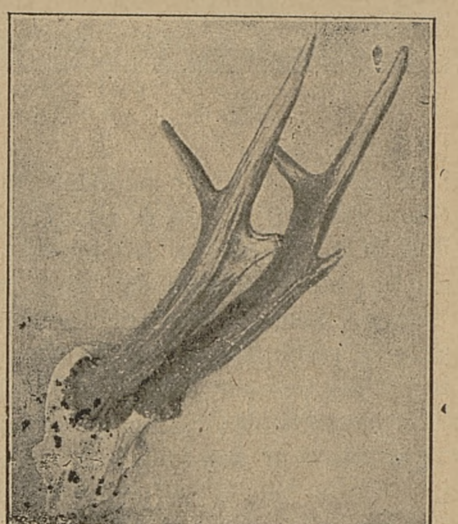


Fig. 5.

granicami kraju, przypomnę tylokrotnie już zastosowany wiersz seniora poetów naszych:

Cudze chwalicie, swego nie znacie,
Sami nie wiecie, co posiadacie".

*Wł. Janta Połczyński.*

# FATALNE TOKI.

(*Ze wspomnień przedwojennych*).

2.

* * *

Cały sekret bezwzględnej konieczności zdobycia własnoręcznie głuszca przez barona, dygnitarza ministerjum Rolnictwa i Dóbr Państwowych, polegał na tem, że podczas wesołej kolacyjki w gabinecie „Cubat[1]“, gwiazda półświatka ówczesnego „Camilla de Lion“ — Clo-clo — jak ją poufnie nazywano — przyznanie swych względów w charakterze stałej „maîtresse en titre[2]“ — o co ubiegał się nasz petersburski potentat — niewiadomo z jakich przyczyn uzależniała od ofiarowania jej wachlarza oczywiście w brylanty suto oprawnego — koniecznie li tylko z głuszcowego ogona!

Niezbadane są tajniki mroków psychologji kobiecej.

Przecież wartość klejnotów oczywiście powinnaby stanowić cały „sens“ kombinacji?

Może atawizm po jakiemś antenacie, kłusowniku z rodzinnego departamentu hetery z Wogezów?

„Mon petit Zizi“, jeśli chcesz, żebym puściła w trąbę starego generała Mundirowa „et il m'em... le vieux“, — dla ciebie! to powinieneś mi podarować taki sam akurat wachlarz z ogona „d'un coq de bois[4])—jaki widziałam u Mimi Valetty. Jej Wielki Książę podarował i sam zabił; — czem ja gorsza? Dopiero wściekać się będzie! Ty też własnoręcznie upolujesz! — nieprawdaż? Nu „embrasse[5]) bien fort ta Clo-Clo, mon Zizi chèri“!

Któżby się oparł podobnie czarownym pieszczotom i słowom!?

Nawet potomek starożytnego germańskiego rodu, obecnie naturalnie „istinno-ruskij“ patryjota nadbałtyckich gubernij „de puro grano“ — do tego snob do szpiku kości, jakim niezawodnie był nasz Zygfryd syn Wolframa!

W podległym mu Departamencie, znalazł się jak zawsze pewien oddany całą duszą „naczalstwu“ urzędnik „le dévoué Iwan Iwanowicz“, sekretarz osobisty, przed którym nasz baron nie miał żadnych tajemnic.

Ten ostatni, odrazu zrozumiał sytuację: wyrugować któregoś nie miłego dla niego wyższego funkcjonarjusza z zamianą na stanowisku przez kreowaną przez niego nową figurę najzupełniej pod wpływem swego dobroczyńcy raz na zawsze będącą, oraz aureola baronowskiej łaski zapewniona z legendą wpływów osobistych w sferach ministerjalnych. Obskurny zaś, z moczarów poleskich wyciągnięty nowy osobnik na wyższym urzędzie, będzie posłusznym barankiem.

Rezultatem: przyjacielska, chociaż w „kazionnym“, rządowym pakiecie „bumaga“—„koncept“— do Borowskiego Nadleśnego i niezwłoczny wyjazd barona do Kopcewicz na królewskie łowy czarownego pieśniarza wiosny!

Groźny zwykle szef departamentu — vulgo Zizi dla Clo-Clo — aż drżał cały w gorączkowem transie myśliwskim i nadziei zdobycia wachlarza, a z nim szykownej francuzicy, co nadawało samo przez się pewien „cachet[1])“ wytworności w świecie, „gdzie się bawią“, do którego pragnął należeć nasz nadbaltycko-petersburski „arbiter elegantiarum“.

Przyjazd do Kopcewicz, służbowe meldunki na peronie stacji naczelnika powiatu, rotmistrza żandarmerji, inspektora leśnego z Mińska, szefa ziemskiego urzędu — spotykających oczywiście tak znaczną personę — tłumy ciekawych, lecz ostrożnych bardzo poleszuków, mniejszość narodowa w najrozmaitszych odcieni łapserdakach, „multum“ strażników policyjnych (barbosów) z techniką wielką utrzymujących należyty „mores“ w niesfornych rzeszach, wszystko to się odbyło jak najporządniej w świecie!

Przed dworcem oczekiwała już na barona „lichaja trojka[1])“ z kuczerem w kanarkowego koloru koszuli i czapeczce o pawich piórkach umyślnie wysłana przez hrabiego Pocełujewa marszałka szlachty(?) z Mozyrza — do której skierował się baron ze świtą.

„A znajesz Moszko, u niego w Kurlandzkiej guberni, swoja własna ogramna „erste klasse[2])“ fabryka papieru — pięć tysięcy dziesięcin lasu i w Wostoczno-Zapadnom bankie w Peterburgie osiem miljonów rubli leżyt!“ — informował szeroko znany faktor Nuchim Fetor swego kolegę Imć pana Mojżesza Natansohna.

„A grdsef purec! czemu nie! pomyśleć tylko! acht tausend miljones! — fünf desiatynes — a kli-

---

[1]) Pierwszorzędna restauracja przedwojenna w Piotrogrodzie. [2]) oficjalnej utrzymanki. [3]) Mam starego po uszy. [4]) Głuszca. [5]) Ucałuj mocno swoją Klo-klo mój ty Zizi ukochany!

[1]) Markę. [2]) Zamaszysta. [3]) Pierwszej klasy.

ger kopf![1])" — aż cmokał z zachwytu ostatni, podczas gdy chciwe, wschodnie oczy wpijały się w potężnego Nababa.

„Zwiestnoje dieło — generał!" — marząco nie wiadomo właściwie dlaczego wykrzyknął raptownie, przysłuchujący się rozmowie matadorów, obdarty żydek — niemożliwie brudny i cuchnący Berko Gitelmacher, skromny od jaj i gęsi pośrednik.

„Iż jaki uażnyj panok pryujechał od gubernatora chyba treba, cztoby starszy buł!" rozlegało się śród chłopstwa...

„Gospoda! proszę rozejść się „niechoroszo"— mitygował żandarm dyżurujący, podczas gdy strażnicy z mistrzowską w tej materji wprawą, na chwilkę tylko w tłum się zanurzywszy momentalnie prawie, wolne przejście dla dygnitarza utorowali. Jakim cudem? Widać było wyjęte z cholew nahaje.

Usadowili się wszyscy nareszcie.

Poprzedzał orszak na bułanym koniku „uriadnik" zawzięcie okładając boki poczciwego „chabeta" — z grzywy i ogona którego, nie udało się wyczesać wszystkich bodziaków. Za nim faeton „prolotka" ze stojącym dla porządku „sprawnikiem" później skromne tarantasy, bryczki przeróżnych nadleśnych, rewizorów, inspektorów i innych figur „minorum gentium!".

Setki ócz leniwie rozmarzonych kołtuniastych bab w jaskrawych chustkach, chłopców w szerokich furażerkach, statecznych starych poleszuków w baranich czapach, porwanych kożuchach w chodaki — łapcie niezmiennie obutych, wpijały się w wiośniane złociste przestrzenie, w których śród olchowych krzaków, pni i brzeźniaków przydrożnych znikał powoli, niemiłosiernie podskakując na drągowinach grobli — cały dygnitarski korowód „Quel pays, mon Dieu, quel pays! l'Asie dans toute son horreur![2])" — klął głośno baron — do wszystkich djabłów „tausend Teufel! — Donnerwetter! zasypując w tej chwili uroczą Clo-Clo i jej głupie zachcianki!

Koniec dnia i wieczór w skromnym dworku Nadleśnictwa w Borowie znajdującym się wdali od miasteczka śród moczarów, rojstów i mszarników upłynął jak najmilej—wynagradzając barona za poprzednie kilkogodzinne udręki.

Odbył się suty obiad z mnogą ilością kawiorów, łososi, wódek przeróżnych, nawet z parą butelczyn wyśmienitej „korkowniczowskiej" starki — prawdziwym burgundem, szampanem — potem kawa z likierem „Benedictorum Monachorum" i innemi odmianami — nareszcie specjalne pojawiło się pudło

[1]) Mądra głowa.

[2]) „Co za kraj, Boże! — Azja prawdziwa, ze wszelkiemi swemi okropnościami".

cygar „Afrykana"— dla „naczalstwa" li tylko oczywiście przygotowane.

Wszystkie owe specjały „ad hoc" — przez gościnnego Igora Arkadjewicza istnym cudem w dwa dni z Mińska przez sztafetą delegowanego leśniczego najakuratniej w samą porę zostały dostarczone aż do zapadłego zakątka.

Bo zaprawdę, warto było poharować i kaletę nawet nieco opróżnić dla podobnego gościa, od „nastroju" którego dalszy los bohatera naszego najzupełniej zależał.

Baron zaiste w świetnym był humorze.

Gdy jeszcze, jako akord ostateczny, zjawił się „szary i ciemnieńki" jak pień osinowy stary wyga leśny sławetny Hryhor Niekraszewicz popularnie „Hrozą" zwany i za miłościwem zezwoleniem Potentata, rozpoczął swe produkcje podskoków, tełękania i pieśni głuszcowych — prawdziwym zachwytom Zygfryda Wolframowicza stanowczo granic już nie było!

„Regarde mon cher" [1]), wyrzekł — zapalając nowe cygaro, do swego sekretarza „ce dévoué Iwan Iwanowicz"? [2]) — ten typowy poleszuk! — „quelle face de Satyre des bois"! [3]) — a nasz uprzejmy gospodarz Nadleśny!, co za dzielny i widocznie sprężysty człowiek! Szkoda prawdziwa, że tak wybitny urzędnik marnie ginie w „pays perdu" [4]). Trzeba będzie pomyśleć o jego przyszłym losie!"

„Zdaje mi się, Ekscelencjo, że Szef Wydziału Spraw Ogólnych naszego Departameetu — ten naprawdę nieznośny śledziennik i tetryk Borzopiscew, prawie że jest na wylocie na emeryturę. Brakuje mu coś lat parę do tego. Dla dobra służby można ten termin nieco przyśpieszyć zamieniając go młodą niepoczętą siłą! Jeśli Ekscelencja pozwoli, po powrocie do stolicy zajmę się tą całą sprawą!?"

„Ależ mon cher ami [5]) — bardzo proszę! — tak, tak drogi Igor Arkadjewiczu! — pomyślimy o losie Szanownego Pana! — pomyślimy!" — wprost już do Nadleśnego rzucając swe łaskawe słowa, zwrócił się Jowisz Ministerjalny — „niech mi się tylko dzisiejsze polowanko uda, - jak sądzisz pan o tem?— czy będzie „udacza"? [6])".

„Dwóch zdań być nie może, Ekscelencjo! — dusząc się prawie z radości wykrztusił nasz bohater — w powierzonych mnie rewirach, głuszce tak pieczołowicie ochraniane i tyle ich jest, że w razie czego i parę nawet mógłby Ekscelencja upolować"!

„To za wiele, jeden najzupełniej wystarczy!— oprócz tego ważne służbowe sprawy (umówiona kolacja z Clo-Clo!?) — wymagają mojej obecności

[1]) „Patrzcie mój drogi". [3]) Ten oddany Iwan Iwanowicz. [3]) Co za oblicze leśnego Satyra. [4]) Zaprzepaszczonym kraju. [5]) Drogi przyjacielu. [6]) Powodzenie.

w Ministerstwie koniecznie na 18 kwietnia. Mam li tylko na skutek tego jutrzejszy ranek do swego rozporządzenia! Wobec tych okoliczności — zechce pan zaznajomić mię nieco z techniką podchodu do głuszca. Słyszałem, że to podobno dość skomplikowana sprawa!?

„C'est une question tres compliquée"![1])

„Ależ natychmiast, Ekscelencjo! — no! Hryhor! jesteś obecnie już nam niepotrzebny!—Ja sam z generałem zajmę się i objaśnię wszystko! — ty zaś „machaj na podsłuchy"! „Dobrze, ale jutro przed moim odjazdem—wstąpisz i zameldujesz się u mnie!— Podziękuję ci za twoje trudy i pracę — i to nie skąpo! Bądź tego pewien,— jeśli zabiję głuszca! — nawet w takim razie będę prosić pana — panie Nadleśny awansować tego dzielnego „mołodca"[2]) leśnika na „objazdowego"!

„Pokorno błahodariu! — panoczek! — Wasze Prewoshoditielstwo! — rzucając się gwałtownie do całowania rąk dygnitarskich — aż ryknął z uciechy Poleszuk.

W lewo zwrot! — i już go nie stało!

Rozpoczęły się wraz, detaliczne wykłady „podskakiwań" do głuszca. Baron został przy tem należycie poinformowany o niesłychanych trudnościach usłyszenia pieśni i zoczenia ptaka w cieniach nocy i ukrytych gałęziach igliwia!

Ku ogólnej zatem swojej oraz biesiadników uciesze wykonywał bardzo sprawnie potrzebne ewolucje, pod kierownictwem Igora Arkadjewicza, który osobiście miał tej nocy podprowadzać go do czarownego pieśniarza Wiosny.

O śnie oczywiście, już tego wieczoru mowy żadnej być nie mogło. To też punkt o dwunastej

[1]) Kwestja bardzo skomplikowana. [2]) Zucha.

baron w nowiuteńkim londyńskiem sportowym kostjumie był już gotów do wymarszu.

W głowie mu się nieco, od obfitych libacyj mąciło, lecz dusza grała szczęścia bezmiarem i nadzieją triumfu nie gorzej od tokującego miłośnie głuszca. „Kiedy to nareszcie?" Nadleśny z namaszczeniem do uroczystej chwili odpowiedniem trwożnie niejako rzucił: „No!—jeśli Ekscelencja pozwoli!— z Bogiem! „ni puchu, ni piera"![1]) — w drogę! Do widzenia panowie!"

„Drogi Kolego! a więc w drogę! — pozwoli siebie tak pan nazywać? (Nadleśny aż mało nie zemdlał, wobec podobnego zaszczytu, przed całym zespołem „swoich" ludzi) bo niedługo razem dla dobra ojczyzny i „cara batiuszki" pracować będziemy! Żegnam panów!—śniadanie po moim powrocie spożyjemy razem! — Później można będzie pospać sobie parę godzinek, aż do chwili wyjazdu o czwartej na kolej. — Odprowadzaniem mnie na stację — proszę się nie fatygować! Bez żadnych ceremonij i ceregieli!—Jesteśmy na łonie Natury—nieprawdaż?! Żadnego Naczalstwa teraz tu niema — jest towarzysz brat Myśliwy! — i nic więcej! —Eh! charaszo, czort woźmi!"[2]).

„Ni puchu, ni piera" — Ekscelencjo! — zgodnym chórem zawołali rozpromienieni, tak wybitnie dobrem usposobieniem petersburskiego luminarza obecni.

Chwilka — i cienie nocy poleskiej ciepłej, wiosennej, potęgą Wszechstworza rozmarzonej—pieściwie pochłonęły postacie naszych Nemrodów.

*(D. c. n.)* *Adam hr. Rzewuski.*

[1]) Doslownie: „ni szerści, ni pióra" — rosyjskie życzenie przed łowami.

[2]) Eh, dobrze; pal go djabli!

# BŁYSK OCZU WILKA.

Osobliwą własność wilka, nadającą mu pewną tajemniczość i grozę, stanowi błysk jego oczu. Nie należy jednak przypuszczać, że zawsze i u każdego wilka świecą się oczy pociemku, lub, że pochodzące z nich światło jest podobne do dwuch elektrycznych latarek, zapalonych w mroku. Słyszałem nieraz opowiadania o spotykanych stadach wilków w nocy, których błysk oczu przyjmowali „prawdomówni" podróżni za światła w oknach miasteczek lub wiosek, a potem zostawali niemile zdziwieni, gdy światła zgasły, a miasteczka znikały jak fatamorgana. Naturalnie można to wszystko „między bajki włożyć", w rzeczywistości nic podobnego nie bywa.

Przedewszystkiem błysk oczu u wilka zdarza się widzieć nadzwyczaj rzadko, ja w swojej praktyce łowieckiej widziałem go tylko dwa razy, pomimo, że niejednokrotnie spotykałem wilki w nocy. Za pierwszym razem było to w lecie, w piękną ciepłą, księżycową noc lipcową; jechałem konno, gdy w tem o 40—50 kroków ode mnie, w brzegu lasu mignęło niebieskawe światło tej siły, jaką daje pociągnięty w ciemności papieros. Światełko to było pojedyńcze, trwające bardzo krótką chwilę

powtórzyło się kilka razy w małych odstępach i znikło. Gdy zaciekawiony tem zjawiskiem przyglądałem się bacznie, spostrzegłem w świetle księżyca wybiegającego z za lasu wilka. Zatrzymawszy się na łące o 20 kroków spokojnie mi się przypatrywał; wówczas jednak już mu oczy nie błyszczały. W analogicznych mniej więcej warunkach, widziałem po raz drugi błysk wilczych oczu późną jesienią.

U hodowanych dwóch wilków, które przez cały rok trzymałem u siebie w psiarni, pomimo że w celu zaobserwowania tego ciekawego zjawiska, odwiedzałem je niejednokrotnie w noce ciemne a także i księżycowe, nie zauważyłem nigdy najmniejszego światła, pochodzącego z ich oczu.

Dla zrozumienia przyczyny, powodującej błysk oczu, trzeba znać ich budowę. Anatomja oka przekracza zakres niniejszej pracy, przytaczam więc tylko dosłowne wyjaśnienie tego zjawiska, które zawdzięczając uprzejmości p. D-ra Kazimierza Dąbrowskiego i profesora Wł. Szeliga-Mierzejewskiego, znalazłem, w „Zasadach Anatomji Porównawczej D-ra Józefa Nusbauma (tom 11 str. 355) Warszawa 1903. „Pomiędzy twardówką a naczyniówką występuje t. z. blaszka nadnaczyniówkowa (lamina suprachoroidea), utworzona z tkanki luźnej obfitująca w włókna elastyczne oraz rozgałęzione komórki barwikowe. Sama naczyniówka składa się z kilku również warstw, a mianowicie: pod blaszką podnaczyniówką znajduje się włóknista warstwa łącznotkankowa, zawierająca grubsze naczynia tętnicze i żylne, t. z. blaszka naczyniowa (lamina Vasculosa), w której znajdują się nadto włókna elastyczne oraz liczne, rozgałęzione komórki barwikowe. Głębszą czyli bardziej wewnętrzną warstwę stanowi t. z. blaszka włoskowato-naczyniowa (lamina chorio-capillisis), w której mieści się siatka naczyń włoskowatych. Pomiędzy obiema temi warstwami naczyniowemi mieści się u naczelnych cienka warstewka pograniczna, natomiast u jednokopytowych-przeżuwaczy, wielu torbaczy i delfinów znajduje się tu t. z. pokład włóknisty (tapetum fibrosum) utworzony z falisto przebiegających pęczków włókien, nadających blask metaliczny oczom tych zwierząt i u drapieżnych i płetwo nogich pokład ten zastąpiony jest przez liczne warstwy płaskich komórek i tworzy tak zwany pokład komórkowy (tapetum cellulosum); w komórkach tej warstwy mieszczą się u drapieżnych liczne drobniutkie kryształiki iglaste, co również powoduje blask oczu“.

*Bolesław Świętorzecki.*

---

# WIOSNĄ,
# GDY MIŁOŚĆ BUDZI SIĘ W POLESKIM MSZARZE.

*(Z wiosennych wrażeń).*

(*Dokończenie*).

— „Pan inżynier szczo zabyły“?

— „Prynesły rankom dwoch hłuchariw i dwa rabczyki. Tretioho hłuchara strelały, ale nie naszły“.

Psiakrew — zakląłem z głębi duszy, a mnie tam nie było!

Raźno maszerujemy po różnych systematach lądowych, błotnych i wodnych i po pięciu kwadransach słyszę szczekanie psa, potem wychylamy się na polanę i wśrodku widzę leśną osadę.

Na froncie suszą się majestatycznie porozwieszane parterowe części inżynierskiej garderoby, dym wali z komina, a poza ujadaniem psa cisza niezamącona dookoła.

Po chwili wychodzi gospodarz i z należnymi honorami wprowadza mię do chaty, w środku której na tapczanie (naiwny! nie wie że poleskie pluskwy umieją kapać z sufitu) majestatycznie leży w porannym dezabilu pogromca głuszców.

„A to uprzejmie z pańskiej strony! Wystrzelać wszystko co było i nie zostawić dla mnie!

— „Wystarczy i dla pana, bo jest ich do djabła. Grają jak zwarjowane. Byle pogoda dopisała.

Rzeczywiście pomimo słonecznego dnia na świecie jakoś niewyraźnie i rozpacz mię ogarnia na samo przypuszczenie jutrzejszego deszczu.

Hryhor zadowolony z rannego rezultatu, uśmiecha się tajemniczo i kusząco, ale pomimo optymistycznego nastroju pogody nie gwarantuje.

Idziemy do stodoły oglądać trofea.

Dwa tęgie, stare koguty, wagi 11 i 13-tu funtów wiszą imponująco na belkach, a dwa rdzawe jarząbki towarzyszą skromnie tym majestatycznym królom poleskiej pierzastej fauny.

Autor tych trofeów oczywiście szczegółowo opowiada jak się mu dostały i bezzwłocznie układamy plan wyprawy.

Przed wieczorem zaprowadzi mię Hryhor na odległy o 2—3 wiorsty mszar na „podsłuchy“, a inżynier, jako że już dwa głuszce zdobył, będzie się

zabawiał słonkami, które ciągną ponad gajówką, położoną w samem sercu słonkowych ciągów.

Parę południowych godzin włóczymy się po lesie zachwycając się przepysznemi ciągowemi miejscami, a na godzinę przed zachodem słońca rozchodzimy się według ułożonego planu.

Po godzinie forsownego marszu stajemy z Hryhorem na brzegu mokradeł porośniętych rzadkiemi młodemi sosenkami i brzeźniakiem poprzetykanych rzadko stojącemi staremi, o ogromnych rozłożystych konarach sosnami. Kilkadziesiąt ich stoi pojedyńczo na przestrzeni paruset morgów.

Tu odbywają się tajemnicze misterja poleskich trubadurów!

Wypalamy na suchem jeszcze miejscu ostatnie fajki i zachowując możliwą ciszę rozchodzimy się z Hryhorem w różne strony.

Mam brnąć kilkaset kroków po rozmarzającym już bagnie przez gęste miejscami zarośle i głęboki mech do wskazanej przez Hryhora sosny.

Hryhor zniknął nagle jak duch leśny, a ja, miarkując każdy krok i zapadając nieraz po kolano w przełamującą się miejscami skorupę lodową, przedzieram się przez gęste krze brzozowe i olszowe do upragnionej sosny.

Po kilkunastu minutach docieram do celu i upatrzywszy wyższy pieniek, zamieram w wieczornej ciszy ciepłego, lecz wilgotnego wiosennego wieczoru.

Słońce już tylko ostatnimi swoimi promieniami oświetla najwyższe czuby odwiecznych, niebotycznych sosen. Mieszkańcy puszczy dążą do swych nocnych siedzib.

Najpierw ostrym świstem przeszyła powietrze cyranka, ciągnąc za sobą rozkochanego w niej kaczorka. Po chwili mniej ostro przeciągnęła również w asyście nieodstępnego towarzysza krzyżówka. Cicho przepłynęła, pochrapując, słonka... jedna... druga... trzecia, nie naruszając niezmąconej ciszy wieczornej, gdy wtem....

Ostry, gwałtowny łopot potężnych skrzydeł napełnił cały senny mszar i królewski władca tych obszarów zapadł na konarze jednej z odległych o półtorasta kroków sosen.

Potężnym łopotem skrzydeł obwieścił wszem wobec i każdemu z osobna, że tą oto sosnę obiera sobie na jednonocną siedzibę, strzepnął całem swojem upierzeniem i nastawił głowę wysłuchując czy wszystko jest w porządku, przeszedł się po grubej gałęzi do końca, dziobnął parę pączków z sąsiedniej, ale snać nie trafiły do smaku, bo strzepnął głową aż mu się broda pierzasta zatrzęsła, powrócił na dawne miejsce bliżej konara, znowu posłuchał i kłapnął parę próbnych akordów, pilnie nasłuchując w przerwach.

Snać nie wszystko mu się tu podobało, bo po chwili cicho spłynął z sęka i znowu z wielkim łopotem zapadł na sąsiedniej sośnie. Znowu pilne rozglądanie się i nasłuchiwanie, znowu przerywane kłapnięcia, drepczący spacer po gałęzi i jakby od niechcenia skubanie pączków, aż wreszcie uspokoił się i zamarł w ciszy.

Starałem się wyryć i utrwalić sobie w pamięci do przyszłego ranka upragnioną sosnę i drogę do niej.

Równocześnie słyszałem i widziałem podobne „zapady", po całym rozległym mszarze, a naliczyłem do pietnastu. Dalsze już mi się zaczęły plątać, bo straciłem orjentację, który łopot pochodzi od przybywających kogutów, a który wywołują tylko zmieniające miejsce.

Nie zagrał z wieczora żaden, ale dookoła, wśród idealnej wieczornej ciszy, słychać było bezustanne charakterystyczne końcowe kłapnięcia, podobne do głosu odkorkowywanej butelki.

Przed zupełnym jeszcze zmrokiem spłynęła na sąsiednią, o dwa kroki odemnie stojącą olchę, głuszyca. Podobnie, jak głuszec pospacerowała drobnym krokiem po gałęzi, podziubała smacznych olszowych pączków, strzepnęła całem upierzeniem i schowawszy głowę pod skrzydło, a skurczywszy się w taką kulkę, że nie była większą od dobrej pięści, zapadła w nocny sen do świtu, usiadła tak bliziutko, że mogłem ją dostać ręką i dokładnie widziałem ruszające się przy oddechaniu piórka.

Cały czas oczywiście siedziałem skamieniały, starając się głośniej nie odetchnąć, nie mrugnąć powieką nawet, bo i to w tej nieznacznej ciszy szmer wydawać się zdaje.

Gdy się już dobrze ściemniło, wszystko we śnie zamarło i miałem już wstać z pnia, ażeby wycofać się możliwie cicho z tego królestwa ciszy i nieobliczalnych myśliwskich skarbów, nagle, doleciał mych uszu delikatny trzask, a raczej chrupnięcie nadeptanej gałęzi... Po chwili drugi... Potem otarcie gałęzi jakby o coś przesuwającego się po gęstwinie...

Słucham cały w słuch zamieniony i nie mogę zrozumieć coby to być mogło:

Hryhor poszedł w przeciwną stronę, zresztą nie właziłby w sam środek tokowiska, zostawiając mnie na brzegu. Na wilka — trochę za głośno, na dzika—za cicho, choć słyszę już wyraźnie sunące skradające się stąpania po wilgotnym mchu czterech nóg. Gałęzie delikatnie co pewien czas chroboczą jakby po miękkiej skórze kożucha... Tajemnicze szmery co pewien czas ustają, jakby coś skradającego się nasłuchiwało... Wreszcie w pewnej chwili widzę wśród gęstego mroku przesuwa-

jące się o parę kroków odemnie dwie sylwetki ze strzelbami.

Kłusownicy. Wycofują się z podsłuchów. Ciągną w stronę tryby leśnej, którą i my tu przybyliśmy.

Czekam, aż wszystko uspokoiło się i kocim chodem sunę i ja za kłusownikami. Wstałem tak cicho, że nawet uśpiona tuż przy mnie głuszyca, o którą prawie otarłem się wstając, nie zerwała się.

Po pół godzinnej takiej mozolnej wędrówce, w której każdy krok trzeba rozważać, żeby hałasu nie zrobić, docieram wreszcie do suchszej „kładki“ i staję po chwili przy umówionym „zwale“, gdzie zastaję już Hryhora.

— „Baczył ochotnikow“? — pytam go półgłosem.

— „Baczył. Poszły na ostrow noczowaty“.

— „Szczoż bude? Zopsujut nam zawtra podchody?“.

— „Zobaczymo. Treba ich bude perepodochaty“.

Zapaliliśmy fajki i wędrujemy wśród nieprzejrzanych ciemności do gajówki. Jest tak ciemno, że nawet Hryhor, nie gorzej od dzikiego zwierza orjentując się w tych błotnistych puszczach gubi czasem ścieżkę. Zapalamy chwilami łuczywo i przy jego świetle z trudem odnajdujemy zagubioną ścieżkę. Pół biedy na suchem, ale na grząskich trzęsawiskach, po kładkach oślizgłych rzuconych przez leniwie płynącą wodę—trochę gorzej i w tych miejscach dramatyczych przychodzą mi na myśl wyelegantowani warszawscy niedzielni myśliwi. Jakby oni się tu czuli w swoich sztylpach i sznurowanych żółtych kamaszach?

Po godzinie niedługiej, ale forsownej drogi zabłysło nam wreszcie upragnione światełko gajówki i za chwilę raczymy się w towarzystwie „nienormalnego“ inżyniera „czajem“.

Horoskopy na jutrzejsze „podchody“ nie przedstawiają się nam różowo. Deszcz prawie pewny, a pozostawieni w sąsiedztwie tokowiska kłusownicy przygniatają mię jak zmora.

Co chwila wychodzi ktoś z izby sprawdzać pogodę. Zaczyna mrzyć beznadziejny kapuśniaczek, przy akompanjamencie którego przenosimy się na parę godzin snu do szopy na siano i po kilku minutach cała gajówka zapada w słodki, ale letargiczny sen myśliwski. Miarowe przeżuwanie krów, stojących za ścianą, jest ostatnim życiowym przejawem tej siedziby ludzkiej, wśród błotnistej puszczy rzuconej, który sobie uświadomić jeszcze byłem zdolny...

Śpimy...

O pierwszej po północy zbudził mię zgrzyt kieszonkowego budzika.

Nasłuchuję... Deszcz nie pada, ale zato... leje jak z cebra. Budzę inżyniera. Co robić?

— No przecież w taką psią pogodę trudno wymagać, żeby głuszce tokowały, dlatego, że nam się śpieszy na święta.

Przyznaję rację, ale dobrze takiemu filozofować, co ma już na belce dwa koguty.

Idę po radę do Hryhora.

Wylazł z chaty, rozejrzał się po zachmurzonym firnamencie i zadecydował, że trzeba poczekać z godzinę, może przed świtem deszcz zelży, to pójdziemy próbować.

Czekamy, popijając herbatę i ciągle na dwór wyzierając, aż wreszcie ulewa przechodzi znowu w kapuśniak, więc budzimy inżyniera i pomimo jego protestów wyruszamy zaopatrzeni w łuczynę, która od deszczu często gaśnie, ale bez której niema mowy żeby ścieżki nie zgubić.

Wreszcie, przemoknięci zwierzchu, a spoceni od mozolnej wędrówki po kładkach i wertepach od spodu, stajemy na suchszej „bradce“, niedaleko tokowiska dla odpoczynku i zapalenia fajek.

Deszcz mży bezustannie, ale rzadki. Noc w lesie jeszcze głucha. Patrzę na zegarek. Dochodzi trzecia.

Mamy ruszać dalej, gdy wtem zauważyłem z boku od ścieżki małe, migocące światełko.

— „Hryhor, szczo heto“?

Spojrzał, a przypuszczam że wcześniej ode mnie to zauważył i powiada:

— „Ochotniki noczujut! Hłuszczow dożydajut“.

Co robić? Proponuję żeby iść do nich, ale Hryhor nie ma ochoty, kręci że zalegli nie na jego obchodzie, że to las innego właściciela, inżynier choć mocno się rzuca, ale także jakoś nie ma ochoty interwenjować, aż wreszcie udaje mi się obu namówić i cicho idziemy w stronę światełka.

Podchodzimy na parę kroków. Widzę dwóch poleszuków w łapciach, leżących na mokrej ziemi przy sośnie. Ognisko tli się w rugach, które prażą się w popiele, aż para z nich idzie, dwie strzelby wiszą na sękach, a chłopcy śpią jak zabici odwróceni do nas plecami.

Wreszcie jeden podniósł się na łokciu, nie widząc nas, stojących o dwa kroki, popatrzył w niebo, podsycił żar w ognisku i znowu zwalił się jak kłoda na ziemię.

Ostrożnie zdejmuję najbliższą strzelbę z sęka i mam zamiar sięgnąć po drugą, ale Hryhor rozpaczliwie łapie mię za rękę i błaga szeptem, żeby nie zabierać:

— „Ubjut mene, panoczku, jak pojidete“.

Inżynier zachowuje stanowisko neutralne. Waham się co robić, bo nie orjentuję się w sytuacji:

nie wiem na czyim jesteśmy gruncie, co to za ludzie, czy mają prawo polowania.

Wreszcie decyduję się i budzę najbliższego. Zerwał się jakby piorun trzasnął w sosnę pod którą spał, zanim drugi i odrazu łapią za strzelby.

— Coście za jedni i co tu robicie?

— „A wy chto takije"?

Legitymuję się, zresztą zauważyli już i poznali Hryhora, co odnosi pożądane wrażenie:

— „My ostierchajem hłuszcow dla pana komysara" i legitymują się nazwiskami, co Hryhor potwierdza i wymienia wieś skąd pochodzą.

Wyjaśniam im, że pan „komysar" tu prawa polowania nie ma, a ich osobiste prawo obiecuję sprawdzić przez policyę, co skutecznie pomaga i solennie obiecują nie przeszkadzać nam w tokach, więc z bólem serca rzucam tą cenniejszą może od głuszca zdobycz i idziemy dalej do zamierzonego tokowiska.

Ciemności już cokolwiek rzedną, ale deszcz mrzy ciągle i beznadziejnie.

Dochodzimy wreszcie do wczorajszego wywrotu i rozchodzimy się w dwie strony: ja we wczorajszym kierunku, a inżynier z Hryhorem.

Poczekałem parę chwil aż oddalą się i ucichną i próbuję wziąć wczorajszy kierunek, ale po kilkudziesięciu krokach gubię się w labiryncie kęp i niebezpiecznych sosenek, więc postanawiam czekać pierwszej pieśni.

Cisza dokoła, tylko deszcz drobny spływa po gałęziach i czasem grubsza kropla kapnie głośniej. Po pewnym czasie zaczynają sennie, cichutko ćwirkać drobne ptaszki leśne, aż wreszcie rzednący coraz bardziej mrok i ciszę przedranną rozdarł przeraźliwy, metaliczny, smętny jak te mszary, przeciągły klangor żórawi... Najpierw jeden, od wschodniej strony, odpowiadały mu inne, w różnych kierunkach.

Wreszcie uspokoiły się i znowu cisza, ale już nie tak doskonała.

Czekam jeszcze chwilę pilnie słuchając, bo lada chwila powinien obudzić się głuszec.

Wreszcie słyszę przytłumione, słabe, niechętne, jakby próbne kłapnięcie, a po chwili już słychać w różnych kierunkach kilkanaście tych najpiękniejszych dla myśliwskiego ucha „odkorkowywań", które poprzedzają pieśń właściwą.

Nie wiem jaki wziąć kierunek, bo wszystkie wydają się jednakowo oddalone, a żaden nie gra wyraźnie.

Wreszcie decyduję się na jednego i próbuję zrobić kilka kroków, przypuszczając że zadaleko na skakanie pod pieśń.

Rozmarzające bagno łamie się zagłośno, gałęzie chroboczą po skórzanej kurcie, którą przeklinam za tę jej niepraktyczną stronę, ale nasłuchując co kilka kroków, stwierdzam, że w „korkowaniu" żadnej zmiany. Kłapią zrzadka dookoła, ale wyraźnej pieśni nigdzie nie słyszę.

Mój kogut najbliższy jakby próbował „zaszlifować", ale w pół pieśni uciął, choć nie dałem się wziąć na ten kawał i nie ruszałem się dopoki się nie rozegra, ale i to nie pomogło. Pieśni doczekać się nie mogę.

Wreszcie po kilku minutach zagrał niezgorzej i zakłapał, odkorkował i zaszlifował raz i słucha... Po dłuższej przerwie — drugi — skoczyłem dwa dobre susy... Dłuższa cisza... Znowu zagrał... Znowu dwa metrowe kroki... Uciął.

Stoję rozkraczony do pół kolan w błocie, a ta szelma jakby nabrał w gębę wody.

Czekam wypatruję, stwierdzam, że coraz widniej, całą siłą woli zatrzymuję się w niewygodnej pozycji, wreszcie przenika mój wzrok rzednące ciemności i w gęstej mgle widzę na 100 kroków sylwetkę nieruchomego koguta, siedzącego na jedynej, szeroko odstawionej od pnia, sosnowej gałęzi.

Czy mnie widzi? bo stoję, a raczej rozpościeram się na mchu między dwoma nizkiemi sosenkami?

A ta oferma zatracona siedzi jak kłoda i ani drgnie. Wreszcie napuszył się, jakby zamierzał zagrać, ale znowu pióra ułożył i milczy. Święty Hubercie, natchnij tego prowokatora choć jedną pieśnią bo czuję że już w tej pozie dłużej nie wytrzymam i wyciągnę jedną nogę z błota, a wiem przecież, że stanie się wówczas coś strasznego!

Mocuję się jeszcze, aż znowu zaczyna się poprawiać na gałęzi, podnosi skrzydła i fiuu... zjeżdża jak zmokła wrona z gałęzi i płynie między brzózkami i sosenkami.

Zakląłem jak można najnieprzystojniej i widzę drugiego, trzeciego ciągnących jak aeroplany od strony inżyniera. Z rozpaczą, ale i ulgą wyciągam zdrętwiałe kończyny z bagna i rozglądam się po szarzejącym już i zadeszczonym mszarze. W promieniu kilkuset kroków widzę jedenaście zamglonych sylwetek zawieszonych na wysokich, pojedynczo stojących sosnach, ale wszystkie bez ruchu i bez głosu. Słota toki wstrzymała.

Wracam, przeklinając deszcz, z powrotem i po kilku minutach słyszę kłapanie po błocie towarzyszy. Wracają, do zmokłych kur podobni. Inżynier z miną zupełnie „wykolejoną". Co robić — decyzya łatwa: wracać pod dach i czekać pogody.

Inżynier ma dosyć i jedzie na święta, ja decyduję się zostać jeszcze na jeden ranek.

Wracamy bez humorów do domu, a tymczasem niebo zaczyna przecierać się i deszcz folguje.

Budzi się życie i ruch w lesie. Po brzegach cietrzewie bulgoczą, jak w garnku. W jedlinie zapiszczał jarząbek. Hryhor probuje wabić — odpowiada i po chwili zabijam przelatującego kogucika z krawatką. Po drodze zabiłem jeszcze jednego i tak dowlekamy się do gajówki.

Po wysuszeniu się i przespaniu, inżynier o południu wyrusza na kolej, a ja przed wieczorem na słonki.

Wieczór niezbyt sprzyjający, bo wietrzno, ale dwie spuściłem i kaczorka, więc znowu na rano i gorące westchnieine do Św. Huberta o pogodny ranek.

Tym razem mnie wysłuchał, bo następnego rana wróciłem z dwoma kogutami, które po słocie poprzedniej grały doskonale.

Zostało mi tylko tyle czasu, ażeby zajechać do miasta dla zameldowania władzom o kłusownikach, którzy mieli marne święta; bo stracili pięć strzelb przy ogólnej rewizji i zdążyć na święcone jajko do Warszawy.

Tak Św. Hubert wynagrodził moje trudy i cierpliwość w roku zeszłym. Czy równie będzie na mnie łaskawym i w bieżącym?

*Teodor Tołłoczko.*

Brześć w marcu 1925 r.

# Przykład siły i wytrwałości gołębiarza.

*(W związku z monografją).*

Może wypadek z gołębiarzem, który niżej opisuję, nie zasługuje na tak szczególną uwagę, jak podany przez p. Jerzego Szaniawskiego w Nr. 8 Przeglądu z dn. 15 kwietnia b. r., atoli ze względu na to, iż jest wybitnie charakterystyczny, a zdarzył się w tym samym majątku P. powiatu Radzyńskiego w r. 1914, pragnę się podzielić jego przebiegiem.

Poszliśmy we dwóch z p. Władysławem Szaniawskim, juniorem, na łąki torfowe, mocno podroszone, poszukać bekasów. Pora była popołudniowa. Łąki rozległe, otwarte, puste, skoszone. Z odległego na widnokręgu lasu zbliżać się zaczął w pewnej chwili ciemny punkt, w którym po zbliżeniu poznaliśmy jastrzębia z dużą zdobyczą w szponach.

Stanęliśmy nieruchomo, oczekując nadlotu, lecz drapieżnik okazał się o tyle odważnym, że, choć był pewno mocno zmęczony, wyprzedził nas ukośnie i siadł na czystej łące w oddaleniu około 300 kroków, aby tam przystąpić niezwłocznie do uczty.

Widzieliśmy zdaleka jego szybkie, gwałtownie powtarzające się ruchy łbem — widocznie dokonywał mordu. Oczywiście nie było czasu do stracenia: wpół zgięci, zaczęliśmy się podkradać, usiłując zamaskować małemi kopkami siana, napotykanemi w tem miejscu po drodze, choć nader rzadko. Niestety, zbyt wiele musieliśmy czynić hałasu, chlupocząc ciężko po błocie, bowiem jastrząb, porzuciwszy ofiarę, odleciał.

Przez chwilę jeszcze staliśmy w miejscu, licząc na powrót drapieżnika, wkrótce jednak znikł zupełnie na horyzoncie, nie siadał po drodze nigdzie, nie krążył, a zatem nie miał widać zamiaru ryzykować powrotu.

Cóż było robić — poszliśmy sprawdzać co stanowiło ofiarę gołębiarza tym razem. Podeszliśmy na miejsce i przez dłuższą chwilę lustrowaliśmy wzrokiem powierzchnię łąki bezkutecznie. Już mieliśmy zacząć przeszukiwanie planowe, krok za krokiem, gdy prawie z pod nóg porwała się niedołężnie — najwidoczniej mocno poturbowana—duża kaczka krzyżówka, do której w pośpiechu obaj strzeliliśmy. Spadła. Okazało się, że na wierzchu głowy miała już wydziobaną sporą ranę, a grzbiet silnie krwawił od zagłębionych podczas powietrznej podróży szponów gołębiarza.

Ciekawem atoli jest to, że wszakże kaczka, stara krzyżówka, waży bezwątpienia więcej od napastnika, a przecież niósł on ją bezpośrednio po schwytaniu do miejsca obranego na mord i ucztę przynajmniej kilometr! Widać jednak był już dość zmęczony, skoro, spłoszony na daleki dystans, ofiary nanowo nie uniósł w powietrze.

*Władysław Zabiełło.*

# CIĄGI SŁONEK.

Wiorst mieliśmy bitych z piętnaście do przebycia, gdyż zasiadając na czatach bliżej miasta, po parokrotnych próbach, nie widząc ani jednej słonki ciągnącej, zaczęliśmy już wątpić, czy nie istnieją one li tylko w wyobraźni i wspomnieniach z lat dawno minionych.

Jak zwykle w sobotę dzień miałem robotny i gorący. Uporawszy się wreszcie z wypłatą, z pracownią i obrachunkiem dziennej roboty — na siłę o godz. 4-ej siedliśmy oklep na t. zw. linijce we dwójkę z żoną i naszą dychawiczną szkapę puściliśmy w ruch. Szkapsko te, choć niezbyt stare, ale tak szelmostwo ograniczone i leniwe, że bez pomocy bata ani rusz szybciej jechać nie chciało. Cały jej spryt i rozum ograniczał się do tego, że wciąż prawem ślepiem patrzyła zezem na powożącego: czy jej batem nie zdzieli i przy najmniejszym zamierzeniu się — podrywała się na długość 10 kroków w żydowski galop, ażeby za chwilę przejść w apatyczny truchcik. Mimo całego szacunku dla jej płci i wieku, po paru bezowocnych próbach namawiania do nieco szybszego i równiejszego biegu i głosem i straszeniem, złoiłem jej wreszcie portczyny uczciwie, co miało skutek dodatni na znacznie dłuższy czas i przestrzeń.

Szosą dobrze utrzymaną, ujętą w dwa rzędy brzóz wieloletnich i topoli posuwaliśmy się dość szparko.

Niedaleko za miastem, pod Bujniczami, widniały w zaroślach zasieki i przegrody z drutu kolczastego z roku 1915, kiedy to działająca armja rosyjska, nie wiedząc, gdzie jej się oprzeć przyjdzie, — czyniła kosztem olbrzymim sztuczne przeszkody i okopy na głębokich tyłach, — ale bliżej frontu od samej Warszawy poczynając, zagrodzenia te i okopy wyglądały raczej na śmieszne dziecinne zabawy w piasku, za to kosztowały również olbrzymie, nawet na one czasy—sumy. O milę od Mohylowa ciągnęła się wzdłuż drogi duża wieś — Sielec. Chatyny przeważnie drewniane z półokrągłych bierwion zrobione, zamieszkane były — po jednej stronie szosy wyłącznie przez żydów, z przeciwnej znów — tylko przez ludność tuziemczą. To też podczas, gdy po stronie żydowskiej widać było narodowe judzkie bydło—kozy, co to i mliko da i miotłę obgryzie, i za piecem się wyśpi,—naprzeciw brodziły między chatami świnie — jakiejś wielce wymyślnej rasy. Łącznikami między jedną i drugą zwierzęcą czeredą były gęsi, zajmujące pas neutralny, mianowicie przydrożne rowy i samą drogę.

O pół mili dalej droga silnym spadkiem biegła ku stawom, nad któremi przerzucono most. Tu wobec naturalnej pomocy równi pochyłej nawet nasze kobylisko, przebierało gicołami jak cugant.

Za stawami, na wzgórzu rysowało się ostrą linją kamienne mauzoleum, na którym napis głosił, że wzniesiono je na pamiątkę krwawych wojen roku 1812. Wymieniono miejsca potyczek i nazwy pułków, walczących z Napoleonem. Teren, jak widać, bajecznie się nadawał do walki. Grunt pagórkowaty, poprzerzynany głębokiemi jarami, z nizinnemi błotami od północy, z wieńcem lasów do dziś istniejących, — dalej o parę kilometrów na wschód kręte, a bystre wody Dniepru toczyły wartkie fale...

Ujechawszy jeszcze ze dwie wiorsty, skręciliśmy na prawo przez wieś i potem zanurzyliśmy się w las boczną drogą. Po przez zwały drzew, przez leśne wykroty i grzęznąc w rozkisłych łożyskach strumyków, dojechaliśmy wkrótce do Guślanki—celu naszej wycieczki. Sama wieś położona dalej, zamieszkana przez Białorusinów, — bliżej zaś lasu mieszkali trzej bracia Pamfiłowicze — polacy, zdawna tutaj osiadli, stara szlachta zaściankowa, jak się tu mówi „katoliki" — co jest równoznaczne — z polakiem. Dawniej zamożni, dziś zubożeli, — każdy z nich siedział na paru zaledwie morgach. Wszystkie trzy obejścia dotykały do siebie. Każde stanowiło podwórzec z czterech stron obstawiony budynkami. Punie, czyli stodoły graniczyły bezpośrednio ze sobą. Chaty drewniane ze spłaszczonych okrąglaków, miały jednak podcień na słupach okrągłych i ganek przed wejściem. Ochędożnie było zarówno w zagrodzie, jak też i wewnątrz pomieszczeń. Obrazy święte, a w szczególności podobizna Bogarodzicielki mówiły o kulcie i duchu mieszkańców. Najstarszy z braci— Stanisław, oddawna był gajowym okolicznych borów. Wysoki, chudy, o jednym oku,—drugie miał bielmem pokryte, znakomity strzelec i gołębiego serca człowiek, był nam oddanym i wiernym towarzyszem-myśliwym.

Słońce już zapadało za horyzont, nie odpoczywając więc—ruszyliśmy do poblizkich zarośli na przeloty. Droga była błotnista, grzązka, gdyż ziemia niedawno odtajała...

Z podoryw niósł się rzeźwy zapach, jaki ziemia wydziela z rozdartych swych wnętrzy, gdy przyjąć ma posiew nowego życia roślin. Dalej ostrą wonią bijące opary unosiły się ze złoży li-

stowia zeszłorocznego, rozkładającego się pod działaniem ciepłych promieni wiosennych.

Lekki wietrzyk porusza młodemi pędami brzóz, olszyn i leszczyny. Drobniutkie listeczki, dopiero się rozwijające, tworzyły lekką przezroczą zasłonę, barwą jasnej zieleni otaczającą warkocze brzóz.

„Budut tiahnut — panok“ powiada nam „pan Staś“,—bo takeśmy go nazywali.

Rozstawiliśmy się na wijącej się drożynie, zwróceni twarzami ku gasnącym zorzom.

Świegot ptasząt powoli przycichał.

Usłyszałem szelest i stąpania lekkie. Przycichły...

Rzuciłem okiem w bok. Nie dalej jak o dziesięć kroków stał słupka, bokiem do mnie szarak o rudej szerści i słuchał bacznie. Gdym cmoknął ustami, poderwał się w mgnieniu oka i poszorował na oślep w trwożnej ucieczce.

Gdzieś z tyłu szedł ku nam z powietrza dziwny, tajemniczy głos, ni to chrapania, ni to przyduszonego krakania: „kko-kho-kho“, a potem lekki melodyjny świst: „fi-fit“! Zastygłem w ruchu, tylko głowę zwróciwszy w kierunku nieznanego głosu. Ale nie dojrzeliśmy nic. P. Staś przepadł gdzieś w zaroślach.

Wkrótce ten sam głos usłyszeliśmy z innego kierunku — i tuż prawie nad naszemi głowami przepłynął bezszelestnie ciemną sylwetą ptak tajemniczy. Oszołomiony, nawet nie strzelałem. Naraz hen, o kroków kilkaset zatargał powietrzem strzał. To p. Staś najwidoczniej nie próżnował. Nastąpiła parominutowa cisza i naprężone oczekiwanie. Z tyłu pełzła ku nam, poprzedzana mrokiem sinym—noc,—czerwoność i róż zachodu gasły, martwiały, przechodząc w fioletowe odcienie. Zamieniony cały w słuch, jednocześnie wytężałem oczy, aż łzami zachodziły — upatrując upragnionej zdobyczy... W tem znów słyszę znany już sobie zew i z lewej strony płyną ku nam aż dwa ciemne punkty, rosnące w miarę zbliżania się. Drżąc z przejęcia, śledziłem mknące ku nam ptaki, zasłuchany cały w ich pieśń miłosną. Serce skakało trwożnie i tłukło się w piersiach. Jeden szybki ruch w kierunku lotu, ostry trzask wystrzału i uderzenie ptaka o mchy poddrzewne. Rudawo upierzony, z długim miękkim dziobem i czarnemi, gasnącemi ślepkami leżał bezsilnie i wpatrywał się we mnie przerażonym wzrokiem... Za chwilę skonał... Zmrok coraz gęstszy nie pozwolił nam więcej krzywdy wyrządzać...

Wkrótce też nadszedł p. Staś i przyniósł słonkę, zabitą przez siebie. Po przybyciu do izby, spożyciu posiłku i pogawędziwszy z rodziną P., rozciągnęliśmy się na ławach, okryci troskliwie.

Rano, przed świtem, zaprowadził nas p. Staś na łąki porośnięte zrzadka wikliną. Już zdala słychać było dziwny głos, toczący się jakby z pod ziemi. Coś jak bełkot strumienia po kamieniach, jak gruchanie mocne gołębi. Czasem głos ten przechodził znagła w tony ostre, chropawe, jak zgrzyt kamieni po gładkiej tafli szklanej.

„Tietieruk bałboczet“ — objaśnił szeptem p. Staś.

Pomimo półgodzinnego skradania się i podchodzenia nie dał się zejść, lecz spłoszony poderwał się o jakie sto kroków od nas i chyżym lotem zniknął w pobliskim lesie.

Na słonki, ciągnące rankiem wczesnym, już też było zapóźno. Wróciliśmy do chaty i zaprzęgnąwszy szkapę ruszyliśmy z powrotem.

Chłodne powietrze poranne smagało nas po twarzach... K nisko wypoczęte mniej się dopominało bata.

Niezadługo też wyjechaliśmy na szosę, a potem już prosto ku majaczącemu zdala miastu.

25/II — 25

*Józef Olczak.*

---

# Dla pomszczenia córki.

Przed laty czterdziestu adwokat Davis, mieszkający w miasteczku Bruce, w północnej części stanu, wówczas terytorjum. Minnesoty, stracił w tragiczny sposób siedmioletnią córeczkę. Oto, gdy przechodziła przez sąsiedni las do szkoły, napadły ją i rozszarpały wilki.

Zrozpaczony ojciec zaprzysiągł wobec tego zemstę drapieżnikom, porzucił zawód adwokacki i poświęcił się zupełnie myśliwstwu, a zwłaszcza wybijaniu szkodliwych zwierząt.

Od tego czasu, jak donoszą dzienniki amerykańskie, Davis zabił 1.200 wilków i oswobodził całą Minnesotę od tych drapieżników, nie przyjmując nagrody, wyznaczonej przez władze stanowe za tępienie zwierząt drapieżnych, nie chciał bowiem zemście swej nadawać charakteru kupieckiego.

Dziś Davis liczy sześćdziesiąt kilka lat i wciąż jeszcze jest namiętnym myśliwym.